



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Kobieta w pieśni ludowej.

Kobieta w pieśni ludowej, to odbicie jej postaci w tem idealnem świetle uczucia i wyobraźni które się nazywa poezją. Lud, mimo braków wykształcenia estetycznego, odczuć poezji tej posiada, bo obdarowanie to jest i dobro wspólne ludzkości całej, dane jej na pomoc i pociechę życia—na podniesienie ponad gruby realizm istnienia, opartego wyłącznie na zaspakajaniu materialnych tylko pragnień i potrzeb. Różnimy się od zwierząt nie tylko rozumem i mową: różnimy się od organizmów tych niższych poezją, odczuć piękną w naturze i sztuce; odczuć piękną w duchowej głębi serca i umysłu ludzkiego. Posiada je człowiek na najniższym nawet szczeblu kultury cywilizacyjnej, posiada je każda niemal istota ludzka, która choć trochę zdolna jest czuć i myśleć: która kocha, tęskni, podnosi wzrok ku górze i coś sobie drogiego, coś miłego i wdzięcznego do serca sobie przysparza pragnie.

Poezja urodziła się w piersi ludzkiej z dwóch nieśmiertelnych pierwiastków uczucia: z miłości i tęsknoty. Muzyka natury, złożona z szumów wiatru i wody, ze szmeru liści, z dźwięków pieśni ptaszczej, nauczyła człowieka śpiewać i w piosence—to, smętnej czy wesołej, wydał on najpierw tajemnicę tęsknot swych i pożądań, smutków i radości. Śpiewa człowiek tak wesoło rozochociony, że to uczucie, pod którym serce jego uderza, zmieścić mu się w piersi nie może i wylewa się nazewnątrz w tonach dzwiecznych lekko w przestrzeń płynących. Śpiewa i wtedy, gdy

teśknota—żał za czemś drogiem mu a dalekiem, pożądaniem a nieuchwytnem, łono jego podnosi i każe mu ulatywać na skrzydłach pieśni tam, gdzie kryje się przedmiot miłości i tęsknych jego pragnień. Charakter pieśni ludowej każdego narodu jest rysem wiele znaczącym w profilu jego duchowym, bo wytwór to najsamorodniejszy jego uczuć i wyobraźni—głębi, z której czerpie, aby dać głos i kolor uczuciom, pierś jego podnoszącym, i dlatego—to zajmującym przyczynkiem do charakterystyki kobiety naszej, jest studium p. Kazimierzy Skrzyńskiej, drukowane pierwotnie w „Wiśle“, a następnie wydane w książeczce niedużej w Warszawie (Skład główny w księgarni Arcta, Nowy-Świat), pod tytułem „Kobieta w pieśni ludowej“. Jest-to przecież ułamek tylko odbicie tego obrazu, bo autorka traktuje tu wyłącznie pieśń z lubelskiego, z małym dodatkiem piosenek „od Warszawy“; niemniej rzecz to zajmująca, jako przyczynek do całości, jako zwrócenie uwagi na tę stronę badań etnograficznych, posiadająca znaczenie pewne. Autorka pisze, że piosenki przytoczone przez nią nie są nigdzie drukowane; ściślej rzecz biorąc są to raczej piosenki tych nigdzie niedrukowane warianty tylko, jak sądzić trzeba z urywków podanych, i ważniejszą rzeczą—rzeczą w zakresie swoim główną, jest tu charakterystyka kobiety w pieśni ludowej.

Pierwszym charakterystyki tej rysem jest wykazanie, kiedy mianowicie kobieta ta śpiewa—co pierś jej podnosi potrzebą wylania w tonach smutnych, czy wesołych uczucia w łonie jej wzbranego? Można tu powtórzyć za poetą: — Miłość i tęsknota, to dwa bieguny naszego żywota, i dziewczyna z powiatu lubelskiego, z okolic Ponigwody wyznaje to samo — wyznaje, że jej potrzeba wylać z piersi uczucie, pierś tę podnosząc—dać wyraz tęsknotom tym, i pragnieniom nieokreślonym, które mieszcząc się w każdej niemal piersi ludzkiej, dowodzą, że człowiek żyje nie

samym chlebem. tylko, że jest w łonie jego wtedy nawet, gdy się to wyraźnie objawić nie umie, pożądanie czegoś, co wychodzi poza sferę potrzeb materialnych jedynie. Jak ptaszek na gałęzi wśród wiosennego rozkwitu natury, tak wiochna młoda nuci tęsknie:

Nie na to ja śpiewam,
Abyście słyszeli...
Smutne serce moje
Niech się rozweseli.

Jest to wyraz tegosamego uczucia, odzywającego się w słowach poety: „Sobie śpiewam nie komu“... i ta dziewczyna, o której można powiedzieć wyrażeniem sandomierskiego ludu, że „wyrósła, jak na boru sosna“... niemal, że o sile własnych instynktów i natchnień własnego ducha, niemal że na łonie przyrody, zdolna jest tak czuć i uczucia tego siłą rwać się w świat nieokreślonych pragnień, jakich nie doświadcza i doświadczać nigdy nie będzie niejedna panna w salonie, wychowana w czci pozorów i zewnętrzne go poloru jedynie—której nie i nigdy nie rozbudziło w głębi duchowych tęsknot owych, będących „dobra i piękna światem pożądaniem“...

Ukochanie przyrody, odczuć jej piękności, ma dla dziewczyny wiejskiej moc wszystkich tych wpływów, jakie w sferach intelligencji dają zetknięcie się z pięknem w sztuce, w poezji. Czar tych uroków działa tu taksamo na wyobraźnię i gdyby autorka rozbieranego studium nie zacięła się do kobiety w pieśni jednych okolic tylko, znalazłaby była wiele więcej przykładów, jak obrazy piękności natury działają na lud, jak rozbudzają jego fantazję i unoszą wyobraźnię poza sferę twardego realizmu życia. Autorka przytacza wiele fragmentów piosenek, którym za tło służy zawsze jakiś malowniczy podkład obrazu piękna

natury, co powtarza się w pieśni ludowej stron wszystkich, i wobec tego samorodnego odczucia piękna zapytać-by trzeba: czy zawsze kobieta wyższych sfer towarzyskich czuje podobnie—czy ma w sobie tę poetyczność, która dać może jej życiu więcej potrzebnych mu natchnień, niżeli wiedza naukowa, jeżeli sucho i zimno umysłowi podana, wprowadza tam jedynie pewną ilość luźnych wiadomości niezwiązanych ze sobą tym węzłem, którego potrzeba, aby człowiek znalazł tu podstawę odpowiednią do wejrzenia wzrokiem rozumnym w głąb wielkiego państwa przyrody, wśród którego on jeden tylko stoi wolny i samodzielny, nieskrepowany surowym prawem instynktu jedynie?

Pieśń odzwierciedla żywo poczucie obowiązku w tej prostej i nieuczonej córce ludu. Posłuszna córka rodzicom, matce zwłaszcza, wie, że od chwili związania losu swego z losem wybranego na drogę życia towarzysza ulegać musi surowszemu prawom powinności — nakazującym jej poświęcanie chęci i przyjemności własnych na korzyść przyjętych zobowiązań małżonki. Młoda, bo dziewczęta wiejskie idą za mąż wcześniej, wie to z przykładu matki, że kobieta nie na lekkiego istnienia używanie, nie na życie kosztem pracy męża wiedzione, wiąże się ślubem dożywotnym. W symbolicznym słowniku Chińczyków małżeństwo przedstawione jest przez parę wołów, do jednego pługą wprzężonych — i ona podobnie to pojmuję. Już jej nie wianki wić, nie kwiatki, nie zioła wonne w ogródku sadzić. Bądź mi zdrowe, moje ziele, idę za mąż w tę Niedzielę... śpiewa tęsknie, znająca nowych obowiązków nakazy i nie przedstawia sobie istnienia w małżeństwie za synekurę życia, za leniwe ręk założenie — nie zalicza tego do powinności męża, aby zgięte jego barki dźwigały na sobie cały ciężar potrzeb rodziny. Wprawdzie kochająca nigdy takiej teorii jednostronnej ofiary, jednostronnego poświęcenia do kodexu praw małżeńskich nie wprowadzi, i żoną taką może być tylko kobieta samolubna, kobieta zimnego serca. Bywa też to zawsze nietylko wstrętna z natury swej egoistka, ale źle wychowana, pieszczołami rodziców, najczęściej matki, zepsuta, co u ludu przecież zdarza się bardzo rzadko, bo ten zdrowy rozsądek, rozumem chłopskim nazywany, lepiej tu ludziom radzić umie.

Dziewczyna wiejska, w pracy wychowana, więc zahartowana do trudów czekającego ją życia, zdolna wnieść pod dach swego domu przez pracy tej owoce dostatek i spokojne zapewnienie sobie istnienia,—która się gorącego znoju na czole nie lęka, lecz chce kochać, chce być wzajemnie kochaną, klnie takie węzły sprzedajne, takich nędznie wyrachowanych ludzi, którzy z najtkliwszych związków serca czynią przedmiot targu, i śpiewa (w okolicach Chmielnika) bolesnem uczuciem wzruszona:

Bogdaj szczęścia nie miał
I w Bogu skonania,
Kto pieniędzy szuka,
Ale nie kochania...

Ale naodwrot chce też ona takiego towarzysza życia, na którego ramieniu oprzeć-by się mogła spokojna i czująca się bogatą przez ten skarbiego własnej wartości, którego ogień nie spali, woda nie zabierze,—i wyniosłe, z pogardą odrzuca papinkowatego, męskiej siły, męskiej dostojności nieprzedstawiającego zalotnika, i śpiewa wyniosłe: — Nie zalecaj mi się, Jasiu-delikacie, bo ja, sieroteczka, nie mam wiana dla cie...

Uczucie takiej dumy szlachetnej mieszka w piersi prostej, nieuczonego dziewczęcia, nie wyjątkowo jedynie, bo i sandomierska jej siostra śpiewa wyniosłe:

Dana moja, dana...
Nie pójde za pana,
Tylko za takiego,
Jako i ja sama,

Wtedy stanie ona odważnie do pracy, podźwignie wspólnie z ukochanym jej człowiekiem ciężar życia, pod którym nie chroni się leniwie wychowana przez dobrą, rozumną matkę — zahartowana wcześniej do tych trudów życia, w których widzi obowiązek, a które są haraczem, jakim trzeba opłacić jej sobie szczęście wyższe niż używanie leniwego owocu. Pod prostym gorsetem wiejskiej dziewczyny bije przecież serce młode; czuje ona to samo, jakkolwiek w formie odmiennego zarysu, co i panna ze dworu: tęskni, marzy a towarzyszki jej pytają:

Czego siedzisz w zadumaniu?
O czym myślisz?... O kochaniu?..
Nie wymyślisz nic inaczej,
Tyło co ci Bóg przeznaczy.
Bóg zaczyna i Bóg kończy:
Rozdzielone serca łączy.

Ale chociaż ta dziewczyna wiejska umie kochać tak silnie, że waży się z miłości na ofiarę wszelką i zdolna jest zawołać na drogiego sobie młodzieńca, którego inne, wyższe obowiązki odrzucają od niej: — Weź mnie ze sobą! Pojadę z tobą na wojenkę daleczką... Chociaż woli dzielić biedę z ukochanym i gardzi dla miłości „chlebem, serem i bitymi talarami“, mieszka przecież w jej piersi duma podniosła: nie chce związków, w których mogłaby się czuć niższą, a przynajmniej w których ktoś mógłby ją za niższą uważać, i mówi matce o konkurencie bogatym:

Ten mi się podoba,
Poszłabym za niego;
Tylko ja dla niego
Sierota uboga...

Miłość przecież nie zawsze daje jej szczęście i dola żemżnej bywa często ciężką, ciężką bardzo. Choć „Jasio nie obiecywał Kasi bić“, bije nieraz „nie siekierą, nie nożem, ale kijem, powrozem“... ona jednak znieść to umie przez uczucie obowiązku, przez uczucie niewygasłej do szczętu miłości. Wiedziała przytem, że „u męża gorzej niż u matuli“... ale jeżeli w sercu jej pokutuje uczucie innej, niewygasłej dotąd miłości, jeżeli żarzy jej się w sercu iskra pod popiołem, wtedy przychodzi na nią chwila rozpacz, życie z niekochanym staje się ciężarem, tak przyniatającym niebogą, że woła w przystępie rozpacz, która każe jej zbrzydzić sobie byt pod jedną strzechą z nielubym jej człowiekiem:

Pójde do boru powiesić się...
Pójde do wody utopić się...
Niechaj wszyscy ludzie znają,
Że z miłości umierają...

Rzadkim jest przecież taki bunt uczucia w niej biednej, która od dziecka przechodzi ciężką szkołę pracy, wdrażającej do posłuszeństwa obowiązkowi. Przytem na nią spada główna odpowiedzialność za życie, za dołę i niedołę rodziny, bo wieśniaczka, więcej, niżeli kobieta klas innych, jest wychowawczynią dzieci swoich. Nie ma ona dla nich guwernantek, ochmistrzyń żadnych; ona je uczy pacierza i obyczajności, ona wkłada je do pracy, i z obserwacji ludowej życia wyszło przysłowie: — Jaka mac, taka nać... Że bardzo ważną część pracy, stanowiącej o dobrobycie rodziny, w jej ręku spoczywa, że jej tu nie wyręczają płatne zastępczyni, czuła się ona może, więcej niż kobieta klas wyższych, równą mężowi, niemniej wśród rodziny wieśniaczej supremacja zostaje zawsze w rękach mężczyzny. Nawet brat starszy ma wobec siostry znaczenie niemal ojca, matka jednak jest tu, jak wszędzie, rzeczywistą panią domu, kapłanką rodzinnego ogniska. Miłość słodzi jej trudy ponoszone i tak silną, tak zarazem tkliwą jest zawsze w tej kobiecie prostej, że nie liczy się wobec potrzeb dziecka z za-

dną ofiarą, z trudem żadnym. Wzruszającym jest jeden przesąd wieśniaczek lubelskich przed Matką Boską Zielną, to jest przed świętem Matki Boskiej, przypadającym w dniu 15 Sierpnia: nie pokosztuje żadna z nich, która straciła dziecko, jakiegokolwiek owocu, jagody, maliny, a to dlatego, aby dziecko jej dostawało je w raju, który jest miejscem przebywania duszyczek tych czystych, gdzie Bóg Ojciec obdarowywa je jabłkami rajskimi, z wyjątkiem przecież tych niebożąt, których matki postu tego nie odprawiają.

Wiara w nieprzerwany stosunek duszy matki z pozostałą na ziemi sierotą, jest powszechna w całej Słowiańszczyźnie. W okolicach Ponigwody drużyna weselna córki sieroty powiadamia duszę matki o losie jej dziecka i śpiewa jakoby za nią: „Tam pod wiśniami, pod tereśniami już ruta jest zielona: nie frasuje się, mateńko moja, już Maryś ożeniona“...

Powtarza się to i na weselu syna sieroty, tylko wtedy duch się dowiaduje, że pod wiśniami, pod tereśniami, barwinek już zielony, a Jasio taksamo ożeniony.

Gdy szczęśliwsza matka doczeka się na ziemi postanowienia dzieci swoich, ją, a nie ojca, prosi drużyna weselna o przyjęcie w dom i ona, kapłanka domowego ogniska, wyjeżdżając do kościoła parę młodą święconą wodą kropi, przy odpowiedniej pieśni druchen i družbów: „Skropże ich, mateńko, święconą wodą“...

Ta miłość, ten szacunek matki sprawia, że macochę ściga uprzedzenie niechętnie, podobnie, jak i matkę męża; obie przedstawiają w pieśni ludowej charaktery czarne, bo występuje przeciwko nim silnie zakorzeniona wiara, że matki nikt dziecku zastąpić nie może, i ztąd ta, która miejsce jej zajmuje, popełniać się zdaje coś, jak świętokradztwo.

Uczucie honoru rodu, uczucie dumy rodowej, istnieje w ludzie wiejskim bardzo silnie rozwinięte. Starszy syn rodziny, brat powracający do domu z wojny, z wyprawy dalekiej, występuje nieraz w pieśni ludowej jako mściciel honoru rodziny, karzący siostrę, która go splamiła, i nie myli się autorka, twierdząc, że nieskalana cześć kobiety „biała karta jej życia“ stanowi jeden z najwyższych ideałów moralnych ludu naszego. Surowo też sądzi on upadłą, zabrania jej używania godek, które tylko czystej, tylko niesplamionej się należą, i przy pewnych obrzędach tradycyjnych nie pozwala jej przystępu do grona dziewcząt, spełniających tu rolę dawnych kapłanek. Godność osobista wiejskiej dziewczyny, duma jej szlachetna maluje się w powyższej piosence, którą autorka zalicza do pochodzących z okolic Ponigwody, która przecież znana jest i śpiewana w różnych okolicach:

Dana moja, dana,
Nie pójde za pana...

Każda niemal pieśń ludowa ma wiele wariantów, bo jest to, jak powiedział poeta: „arka przemierza“, w którą lud składa „myśli swych przędę, uczuć swoich kwiaty“ i ztąd nigdy stanowczo nie podkreślona, pod zamknięcie skończonego utworu nie poddana: własność wspólna, gromadzka, żywym życiem wciąż żyjąca — łącznik między starami a młodszymi laty, przynosząca ze sobą jakoby woń tych polnych kwiatów, które Bóg sam sieje po wzgórzach i dolinach, gdzie rozlegają się tony fujarek, ligawek pastuszych. Odbita w jej zwierciadle postać kobiety przedstawia jej obraz taki, jakim się na tle wyobraźni ludowej zarysował, i p. Kaźmiera Skrzyńska podała nam we wdzięcznej pracy swojej bardzo zajmujący przyczynek do charakterystyki naszego ludu i rodzimego typu kobiety. Ma ona być, wedle praw dla niej postanowionych, czystą, mężną, obowiązkowi poświęconą, a wtedy zdana jej zostaje straż domowego ogniska, wtedy poeta z łaski boskiej bierze ją sobie za przedmiot natchnień swoich i odpowiada jej, która z miło-

ści dla niego gardzi ręką bogatego, gardzi królowaniem w białym dworze pańskim:

Dana moja, dana,
Dziewczyno kochana,
Będę ja ci śpiewał
Do samego rana...

Zaden trubadur wyprawiający serenady pod oknem pani swych myśli nie przedstawia postaci poetyczniejszej, niż ten rozkochany Jasio, lub Stach, który wśród samotnego wygonu, gdzie pasie siwe, czy graniaste woły swoje, przygrywa z oczyma obróconemi ku gwiazdom na wierzbowej fujarce, aby echo zielonych rozłogów zaniosło ukochanej te tony śpiewne do chaty, pod słomianą strzechę.

M. I.

GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Nie, nie, nie — mówiła, jakby broniąc się od tego, żeby jej nie zmuszano do wyjazdu — stara Fransoska będzie tu umrzeć. A soby stara Fransoska tam robiła? en France? Ona już nie zna szadna Fransya — ona tu ma swoje koszyol Panna Marya, swoje laweszka na plantasye, gdzie ona idzie promenować ze swoja Żółka, ona ma swoja dobra Anielka, a taka druga nie jest w sala Fransya.

Stara Francuzka przywiązała się do garbuski, więcej jeszcze, niż do swoich piesków, cieszyła się, że ona jej kiedyś oczy zamknie po śmierci, że weźmie jej pieski na wychowanie, a za to chciała jej zapisać wszystko, co miała: i stare meble i pościel, której miała tyle, że po stołku właścić musiała na łóżko do spania, i zegarek ze złotym łańcuszkiem, i wypchaną suczkę pod szkłem na aksamitnej poduszce, zjedzonej już po części przez mole.

— To wszystko będzie Anielsia dostać — mówiła — bo ona kochała Fransuska, ona będzie modlić za Fransoska — będzie robiła jej wizyta na smentasz z pieskami.

Wobec takiego przywiązania Anielcia miała moralny obowiązek opiekowania się także i Francuzką, która z każdym rokiem stawała się niedołęźniejszą. Nie mogła już grywać na fortepianie i chodzić po lekcjach, tyle, co dawniej, bo reumatyzm osłabił jej nogi i powyrzywał palce. Z piesków także nie miała teraz tych dochodów, co dawniej, bo nastała moda trzymania dużych psów, jakichś *terre-neuve'ów*, dogów i innych tym podobnych kolossów, których Francuzka chować ani mogła, bo nie miała gdzie, ani chciała, bo miała formalny wstręt i obrzydzenie do tego rodzaju psów, uważając drobniutki, jaknajmniejsze okazy za najdoskonalsze — i takie tylko hodować lubiła, a o takie właśnie rzadko kto się teraz dobił, chyba jaka stara hrabina, hołdująca dawnym upodobaniom.

Dochody więc Francuzki wskutek tego bardzo zmalały i Anielka była przygotowaną na to, że za lat kilka przyjdzie jej myśleć także o jej wyżywieniu; trzeba więc było dobrze namyślić się nad tem: z kąd wziąć pieniędzy dla tylu osób.

Ojciec jej miał bardzo dobry sposób na to — stawiać na loteryę. Było to jedyne zajęcie jego od czasu, gdy stracił majątek. Zdawało mu się, że tą drogą znowu go odzyska. Kręcił się więc ciągle koło kantorów loteryi, odbywał narady z doświadczonymi graczami, układał z nimi numerę ze snów, śmierci znakomitszych osób, nadzwyczajnych wydarzeń i wydawał ostatni grosz na stawki z głęboką wiarą, że córce z procentem będzie mógł oddać, co wybrał od niej, i sam przyjdzie do grubych pieniędzy. Anielcię także namawiał do stawiania; ale ta, wiedząc, ile ją kosztowała mania ojca z bogaceniem się w ten sposób, oświadczyła mu z pobłażliwym uśmiechem, że spróbuje innego sposobu.

I znalazła.

Przypadek pomógł jej w tym względzie.

Ksiądz kanonik chciał ze składek parafian odnowić i posprawić apparata kościelne, jak ornaty, komże, chorągwie i inne potrzeby, już mocno zniszczone, i szukał komu-by powierzyć tę robotę. Wtedy sprytna garbuska wpadła na myśl, żeby one z ciotką podjęły się tego, jako znające się dobrze na krawiectwie i białem szyciu; ale, że o robotach kościelnych nie miały żadnego pojęcia, więc Anielcia przybrała do pomocy pannę, która była w takim zakładzie ornatów i innych przyborów kościelnych, a przytem знаła się na haftach, i na wspólnę z nią wykończyły roboty, i to tak dobrze, iż zaraz po odpuszcie, na którym wysokie duchowieństwo miało sposobność oglądania tych robót, dostały tyle zamówień na nowe, że Anielcia musiała przyjąć jeszcze kilka panien do pomocy. Ponieważ roboty owe przyniosły daleko większy zarobek, niż krawiecznica i księża przyrzekli poparcie, przeto garbuska powzięła zamiar otworzenia stałego magazynu. Do magazynu tego czasami zaczęli dawać do sprzedania snycerze krzyże, posążki, — złotnicy ramy, organista sprowadzał obrazy świętych, i powoli utworzył się z tego duży zakład, nie tylko robót samych, ale i różnych przyborów kościelnych.

W przeciagu paru lat zakład ten tak się rozwinął, że trzeba było wziąć obszerniejsze mieszkanie ze sklepem, w którym były już i monstrancye i kielichy i fisharmoniki i kwiaty do kościołów i wieńce i krzyże na groby i dwie kolorowane figury świętych do ołtarzów. Anielcia, zajmując się tem, nie tylko nie miała już czasu do dawania lekcji muzyki, ale musiała do prowadzenia rachunków i korespondencji przyjąć uzdolnionego subiekta handlowego, bo ruch w sklepie był duży i wszyscy mieli dosyć do roboty: Francuzka siedziała przy kassie i odbierała pieniądze, ciocia Tekla siedziała w pracowni przy pannach a Anielcia biegała po mieście za sprawunkami, przyjmowała obstalunki, godziła robotnice i miała nadzór nad wszystkim. Pomimo wątłego zdrowia z dziwną energią prowadziła ten cały interes: powodzenie dodawało jej siły i zapału.

Już teraz nie obawiała się o los sierotek swoich. Co tydzień do kassy oszczędności zanosila pewną kwotkę i składała tam na posag dla nich. Jak pracowita mrówka krzątała się, to w sklepie, to w pracowni, to po mieście, zawsze wesoła, żywa, czynna, zadowolona, że może pracą swoją zapewnić byt rodzinie.

Z rodzicami tylko miała trochę kłopotu, bo ci, pomimo, że robiła wszystko, aby im na niczem nie zbywała, ciągle byli niezadowoleni i narzekający. — Oburzało ich to, że muszą załezć od córki, która bądźco bądź lubiła liczyć się z wydatkami i nie chciała wyrzucać pieniędzy bez potrzeby. Oszczędność jej wydawała się rodzicom skąpstwem; — sądili, że im załuje „tej odrobiny strawy i przyodziewy“, jeżeli nie zaspakajala zaraz, na wyskok wszystkich ich zachceń, jeżeli np. ojcu nie dawała na loteryę tyle pieniędzy, ile żądał, albo matce, która miała manię ciągłego leczenia się, uważając chorobę za coś pańskiego, coś w dobrym tonie, nie sprowadziła od razu leków, które jej ktoś poradził lub gdzie w inseratach gazetyczytała. Zaraz były z tego powodu kwasy, narzekania na niewdzięczne dzieci i odgrazania

się, że, nie chcąc być więcej ciężarem takiej córce, pójdą sobie do syna, który będzie umiał lepiej obchodzić się z rodzicami.

Ciągle ją tym synem straszili przy lada sposobności. Niechby była zupa mniej dobra, pieczeń przypalona, łóżko nie tak posłane, jak matka lubiła, służąca coś nie dość grzecznie odpowiedziała, — wszystko to przypisywano Anielci, że nie dba o nich, że ich lekceważy; matka zaraz dostawała jednej z dwudziestu kilku chorób, które miała na zawołanie, i kładła się do łóżka, albo związała głowę chustką i popłakiwała po kątach, a ojciec zły, mrużąc pod nosem różne przekleństwa, od razu brał się do pakowania i chciał co tchu wyjeżdżać do syna. Dopiero Anielcia musiała go przeproszać, uspakając, jak rozgrymaszone dziecko, to obietnicą jakiejś smacznej leguminy na jutro, dla której żał mu było odjeżdżać, to guldenkiem wsuniętym zręcznie do ręki na piwko lub loteryę — czem się dawał udobruchać i zostawał.

Organista dziwił się świętej cierpliwości, z jaką Anielcia znosiła dziwactwa swoich rodziców, mówił, że on ma także dobre serce; ale-by tego nie zniósł. Oburzała go niewdzięczność starych Łatkiewiczów; Anielcia tłumaczyła ich przed nim wiekiem i nieszczęściami, jakie przeszli.

— Jak my będziemy w tym wieku — mówiła mu nieraz — to kto wie, czy nie będziemy gorzej marudzić, mój panie Piotrze!

Gorzej jeszcze było z ciotką Teklą. Ta bowiem także nieraz mąciła spokój domowy z powodu małżeńskiego pożycia. Stara romantyczka miała pretensye do męża, że nie jest dość czuły dla niej, że jej nie kocha, tak, jak mąż żonę kochać powinien, i robiła mu sceny o to. O byle co były zaraz spazmy, płacze, narzekania, że gdyby była wiedziała, iż będzie tak nieszczęśliwą, to nie byłaby nigdy w świecie poszła za mąż, — i inne tym podobne lamenty.

Piotr tylko ramionami ruszał, nie rozumiejąc o co żonie właściwie chodziło, bo był dla niej mężem według wszystkich przykazań boskich i ludzkich i nie miał na sumieniu żadnego grzechu pod tym względem. Szanował ją, jak żonę, i do tego osobę starszą, pracował na jej utrzymanie; był więc przekonany, że dopełnił wszystkich obowiązków małżeńskich.

— Masz co jeść — perswadował jej — masz co pić: chcesz pomarańczy — masz; chcesz kaszki z rosółu — masz — i czegoż ty jeszcze chcesz? — Ona chciała miłości takiej, o jakiej nazywała się w starych romansach i jaką sobie wyimaginowała w rozbujanym długim staropanieństwem imaginacyi; chciała, żeby on wynagrodził ją za wszystkie lata długiego czekania na męża, żeby z nią chodził na spacery wieczorem przy księżycu, żeby ją całował, tulił do siebie, — a Piotr do tego nie był. On traktował małżeństwo więcej ze stanowiska gospodarskiego, wedle obszycia, gotowania i opierunku, a żonę uważał za przyjaciółkę, z którą mógłby pogadać o interessach swoich, rozweselić się, posmiać, jak się to często przy Anielci mu zdarzało. Gdyby żona jego umiała być taką, gdyby więcej dbała była o czystość w mieszkaniu, którą on tak lubił, byłby bardzo z niej kontent i więcej i coraz więcej przywiązywał się do niej. Ale ona go tylko nudziła swojemi wyganianiami i męczyła wyrzutami, że mu już nieraz życie brzydko. Wskutek tego przychodziło między nimi często do kłótni, nieporozumień, które Anielcia, jako mająca to małżeństwo na sumieniu, bo ona je skojarzała, godzić musiała. A miała taką władzę nad Piotrem, że dość jej było spojrzeć na niego, powiedzieć: — Panie Piotrze, nie rób pan tego — albo: Panie Piotrze, idź pan przepros swoją żonę, — to wnet, choćby był najbardziej wzburzony, mięknał i pokorniał, jak baranek, i robił, co ona chciała, nie pytając, czy był winny, czy nie. Ciotka nie mogła wytłumaczyć sobie tego, czem takie chucherko, taka wątła garbuska wywiera taki wpływ na jej męża, i choć z obowiązku poczuwać się musiała do wdzięczności, że staje zawsze w jej obronie, to jednak w duszy czuła jakiś żal do niej o to, że ona

mniej znaczy u niego, niż garbuska. Ona nim rządziła formalnie, nie nie zrobił bez niej, w ogóle nie w domu się nie działo bez garbuski: ona była sprężyną, która cały mechanizm domowy wprawiała w ruch. Najlepiej się to pokazało, kiedy na kilka dni wyjechała raz za różnymi sprawunkami do Wiednia. Brakowało jej wtedy na każdym miejscu, wszyscy potracili głowy i nie umieli sobie radzić bez niej. Ciotka sama przekonała się wtedy, że ta mała, niepozorna garbuska jest wszystkim w domu; ale to nie ułagodziło jej wcale: owszem, wzmocniło jeszcze jej skrytą niechęć dla niej, którą afiszowała przy każdej sposobności, czem mogła i jak mogła.

— Czy ty uważasz, jak ta Anielcia okropnie chodzi ubrana? — mówiła mu nieraz, a samastroiła się, jak mogła, aby biedną garbuskę choć na tym punkcie przewyższyć mogła, — sprawiała sobie jedwabne suknie, cudackie kapelusze, pudrowała sobie twarz, czerniła siwiejące włosy i, dumna ze swojej toalety i pięknego wyglądu, odzywała się nieraz z udanym politowaniem do męża: — Czy ty uważasz, że Anielcia coraz więcej garbaciej? — Niech Bóg broni, jakie to straszne kalectwo taki garb! — Piotr zwykle pogardliwym milczeniem zływał takie paplania żony, patrzył na nią z politowaniem i myślał sobie w duszy:

— Gdybyś ty choć w setnej części była taką, jak on!

Anielka bowiem była dla niego uosobieniem doskonałości kobiecej. Nie zważał na jej ułomność, tylko widział jej cnoty i zalety; co zrobiła, to w jego oczach było dobre, co powiedziała, to święte, — wierzył w nią jak w ewangelię. Żona to widziała, i były z tego powodu między niemi kwasy, zejścia, które zachmurzały często horyzont domowego szczęścia Anielci.

Miała jednak za to wielką pociechę w swoich siostrzeniczkach, które i chowały się zdrowo i uczyły dobrze i kochały ją niezmiernie. Dla Anielci była to największa przyjemność, gdy mogła po pracy wyjść z niemi przejść się. Dziewczątka wtedy, przyczepiwszy się z obu stron do niej, prowadziły ją między sobą ucieszone, jak równienniczkę, będąc równe jej wzrostem i śmiały się i bawiły z nią, bo garbuska i humorem i rozmową umiała zastosować się do ich wieku, być młodą, dziecianną, jak one. Czysta jej dusza miała w istocie coś dzieciennego w sobie; lada co ją rozweselić i do szalonego śmiechu pobudzić mogło. — Nieraz, jak zaczęły tak we trójkę broić, pustować, to aż stary Łatkiewicz musiał je burczeć, wołając: Cicho tam, bębny, nie hałasować mi — co między dziewczętami budziło nowe wybuchy śmiechu, że się i cioci przy nich bura od dziadka dostała i nazwa bębna. Anielcia najbardziej lubiła towarzystwo swoich siostrzeniczek i one także przepadały za nią. Była to miłość wzajemna, którą nie trudno było wyczytać na ich rozpromienionych twarzach i w serdecznych spojrzeniach. Szczególniej twarz Anielci miewała wtedy wyraz takiej anielskiej błogości, iż, patrząc na nią nie można było wątpić, że jest szczęśliwą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Podróżnicy Afrykańscy.

(Dalszy ciąg).

A gdy następnie Stanley, widząc wahanie się Emina, zachęcał Casati'ego do wspólnego powrotu, ten ostatni odparł stanowczo:

— Powrócę, jeśli gubernator uda się z nami także; pozostanę, jeśli on zostaje.

Te słowa, zarówno jak całe późniejsze postępowanie Casati'ego, świadczą wymownie o dobrym jego stosunku do paszy Emina, co nie przeszkadzało mu przecież oceniać dokładnie błędów egipskiego namiestnika, jakich może trzeba się

było ustrzedz w jego położeniu. Buntujące się i szemrzące wojska oczekiwały tylko hasła do powstania. Było niem ukazanie się Mahdi'ego, i miejscowa ludność zbuntowała się. Na domiar nieszczęść wyprawa Stanleya, w której tyle pokładano nadziei, zawiodła oczekiwania, gdyż, jak się okazało, znakomity podróżnik przybywał nie jako zbawca, lecz raczej jako potrzebujący ratunku. Chodziło mu o odzyskanie nieocenionych zbiorów, owocu wieloletnich trudów, pozostawionych nad brzegami nieznaną dotąd rzeki Aruwimi. Trzeba mu było dostarczyć odpowiedniej ilości tragarzy, silnej eskorty, żywności i ułatwić przebycie kraju, zagrożonego wybuchem kiwawego powstania.

Wkrótce wieść o „zmowach“ gubernatora ze Stanleyem szerzyć się zaczęła pośród czarnej armii, podejrzewającej zawsze białych ludzi o wrogię dla siebie zamiary. Szeptano o zaprzędanu w niewolę całej murzyńskiej ludności i wywiezieniu jej z Afryki. Bunt stał się jawnym i gdyby nie odniesione jednocześnie prawie zwycięstwo nad licznymi zastępami Mahdiego, władza i nawet życie Emina oraz jego przyjaciół byłoby w niebezpieczeństwie.

Nakoniec Stanley, nie wahając się dłużej, postanowił osiągnąć wschodniego wybrzeża, skąd przeprawa do Europy była już względnie łatwą; Casati, jak już wiemy, nie chciał mu towarzyszyć, gdyż Emin pasza pozostał na swem stanowisku.

Prawie jednocześnie z wyprawą Emina ku brzegom rzeki Aruwimi i jeziora Albert-Nyanza, posunęły się w tym kierunku ze wschodniego wybrzeża trzy angielskie wyprawy, dostatecznie zaopatrzone i zmierzające do ujścia znanej już w dolnym biegu swoim rzeki Tany. Ale dwie pierwsze z pomiędzy nich zawróciły w połowie drogi, a trzecia, składająca się z 500 zbrojnych ludzi i dość liczny zastęp tragarzy, zatrzymała się na brzegach Jeziora Wiktorya, nie mając odwagi zapuszczać się dalej w głąb kraju, ogarniętego już płomieniem wojny, i zamiast wystąpić czynnie w sprawie chrześcijaństwa i ogólnoludzkich interesów, czekała w bezpiecznym miejscu na przywrócenie spokoju, skracając sobie czas polowaniem na słonie i t. p. rozrywkami.

W Europie tymczasem odgłos dalekiej walki odbił się echem bolesnym; ze wszystkich krajów śpieszono na pomoc zagrożonym. Energicznie zajęto się też niezbędnymi przygotowaniem do wysłania silnej i dobrze opatrzonej ekspedycji, pod przewodnictwem znanego kolonizatora i twórcy osad niemieckich w południowej Afryce, d-ra Petersa.

Karol Peters urodził się d. 27 Września 1856 roku w Neuhaus, nad Elbą; do roku 1876 odbywał kolejno studia w uniwersytetach: Getyngi, Tubingi i Berlina, a w 1880 r. pozyskał wreszcie stopień d-ra filozofii. Kilkoletni pobyt w Anglii, podróże po Europie i innych częściach świata, rozwinęły w nim zamiłowanie i zbudziły zapal do wytworzenia na stałych podstawach opartej kolonizacji. Z jego inicjatywy powstało wkrótce Niemieckie Towarzystwo kolonizacyjne w południowo-wschodniej Afryce, na wzór którego utworzyły się w następstwie wszystkie inne podobne stowarzyszenia. Nie zapomniano też jeszcze zuchwałej wyprawy kilku młodych śmiarków w okolice, stanowiące dzisiaj tak zwaną niemiecką Afrykę, pozyskaną dzięki odwadze i zuchwalstwu właśnie tych młodych, a więc wierzących w siły swoje, pionierów cywilizacji, na czele których spotykamy znowu Petersa.

Nie zawiedziono się na nim, jakkolwiek warunki, w jakich znalazła się jego wyprawa, wiele pozostawiały do życzenia. Przedewszystkiem ze strony rządu nie miała ona żadnego poparcia, tak dalece, że nie postarano się nawet zapewnić mu w Zanzibarze przychylnego przyjęcia, co naraziło go zaraz na wstępnie na niezliczone przykrości i przeszkody zarówno ze strony sułtana, jak głównie - dowodzącego angielską flotą admirała. Wzbroniono mu wylądowania jako zbrojnej a prywatnej wyprawy, groząc konfiskatą broni. Zakazano surowo werbunku, a gotowe posiłki, które

oczekiwały na wyprawę w Adenie, zmuszone były cofnąć się do Bagamoyo.

Peters energicznie i śmiało zażądał odrazu wyjaśnienia tych nieprzyjacielskich kroków; lecz odpowiedziano mu tylko, że dopóki pokój przywróconym w państwie nie zostanie, żadna zbrojna karawana przez granicę puszczoną być nie może, gdyż, wpadłszy w ręce zbuntowanych Arabów, mogłaby pomimowolnie przyczynić się do zasilenia ich zasobów broni.

Admirał angielski Fremantle oznajmił przytem bez ogródki, że nie dopuści wylądowania ekspedycji Petersa i bronić jej tego będzie wszelkimi siłami. Peters zrozumiał, że opór byłby daremny; nie dał jednakże za wygraną.

Zwiódłszy strażnicze okręta angielskie fałszywym zwrotem na południe, przemknął się niepostrzeżony pod osłoną nocy na północ i zarzucił kotwicę w przystani Kwaihu, skąd miał nadzieję dostać się przez Witu na miejsce przeznaczenia. Wylądowanie odbyło się szczęśliwie, prawie w oczach już teraz znów czynnych Anglików, którzy zdołali jednak wbrew wszelkim prawom międzynarodowym uprowadzić drugi statek, wiozący znaczny zapas amunicji i potrzebnych towarów.

Dnia 26 go Lipca 1889 roku wyprawa szczęśliwie przebyła gościnną krainę Witu. Składała się ona z 12 wielbłądów, 8 osłów, 1 konia, 2 psów, 85 tragarzy, 6 kobiet, 25 krajowców, 8 służących, kucharza i przewodnika wziętego z Lamu. Dwunastu żołnierzy pod dowództwem porucznika Küsta udało się drogą wodną; na lądzie pozostał z Petersem jeden tylko europejski towarzysz, porucznik drugiego pułku dragonów, von Tiedemann.

Początkowo, pochód wzdłuż urodzajnych i uprawnych wybrzeży Tany nie był wcale uciążliwym, lecz dalej ukazały się stepy. Okolice zmieniały się szybko na bezludną, smutną pustynię; wkrótce zabrakło żywności i nastąpiła ciężka walka z głodem i trudami nad siły. Miejscami brzegi rzeki okrywały lasy tak gęste, że niepodobna było przedrzeć się przez nie nawet przy pomocy topora. Wówczas wyszukiwano drożyn, wydeptanych przez słonie i nosorożce; stanowiły tu one jedyne szlaki komunikacyjne.

A przytem upał dochodził w cieniu do 45° Cel-syusza!

Nakoniec rzeka, płynąca dotąd w kierunku południowo-wschodnim, ukazała zwrot nagły ku wschodowi, tworząc przesłiczny urodzajny półwysep Oda-Boru-Ruwa. Nieprzebyta sciana lasów kończy się nareszcie, wody Tany płyną środkiem cudownego ogrodu, banany i pataty rosną obficie, dostarczając zgłodniałym wędrowcom zdrowego pożywienia, ale zarazem wrogie pokolenia Galla opasują horyzont wieńcem chat i wiosek.

Sułtan Hajo na czele licznej świty wyrusza naprzeciw karawany. Mały, krępy, z chytremi, biegającymi oczami, w szarym płaszczu, mosiężnym łańcuchu na szyi i mosiężnych naramiennikach, nie budzi wcale zaufania. Mimo to przyjaźń zostaje zawartą, podarunki wymienione i flaga niemiecka na znak gościnnego przyjęcia wywieziona na królewskiej rezydencji.

Na nieszczęście, dobre stosunki trwały bardzo krótko. Gallowie posiadali w pobliżu niewolniczą kolonię Suaheli, którą w imię dążeń swych i sprawiedliwości, na wyrażne żądanie mieszkańców Peters wziął pod opiekę. Król Hajo poczytał to za obrazę majestatu. Przyszło do walki, w której zginął czarny monarcha, i teraz Gallowie pokonani wznowili zerwane przymierze, poczem Peters wyruszył w dalszą drogę, nie czekając dłużej na przybycie porucznika Küsta.

Ten przecież, utraciwszy w drodze wiezione zapasy i towary, rozchorował się ciężko i zmuszony był zawrócić znowu do kraju Witu. Porucznik Botchert, który miał poleczone sobie dostawienie ludzi i towarów z uprowadzonego przez Anglików okrętu, przybył wprawdzie po jakimś czasie z niewielkimi zapasami do Oda-Boru-Ruwa, lecz, nie zastawszy już tutaj Petersa, a nie czując się na siłach do dalszego ciągnięcia za nim, zawrócił także i po wielu trudach przybył nareszcie do Lamu z garstką pozostałych mu ludzi.

Tym sposobem nie zdążył nawet zawiadomić d-ra Petersa, że Emin zdecydował się wreszcie odjechać do Europy ze Stanleyem, a więc właściwy cel przedsięwzięcia: wybawienie współziomka z ciężkiego położenia, przestał istnieć sam przez się.

I nadeszły też chwile ciężkiej próby: żegluga po Tanie stała się niemożliwą, liczne wodospady i podwodne skały tamowały ją bezustannie; dwukrotnie próbowano, przy pomocy improwizowanego mostu, przerzucić się na brzeg północny, lecz usiłowania nie odniosły pożądanego skutku i wędrowcy widzieli z rozpaczą, iż z każdą godziną oddalają się bardziej od celu wyprawy, dążąc w kierunku przeciwnym.

Nakoniec spostrzegli, że rzeka zwraca się na północ; naturalna przeszkoda ustąpiła zatem, ale w to miejsce walczyć trzeba było z rozbójnikami plemionami Massai, zamieszkującymi te strony. Wbrew zobowiązaniu się krajowców, które wyprawa okupiła nałożonym na nią haraczem, pochód spotykał na każdym kroku zasadzki i przeszkody. Trzeba było walczyć co chwila ze zdrażdieckimi napadami, z chytrością i chciwością tego dzikiego ludu, słynącego pod imieniem afrykańskich Hunnów.

W samą wigilią Bożego Narodzenia, w dzień biały, jeden z żołnierzy został zamordowanym w oczach Petersa za to, że bronił powierzzonego sobie ładunku. To wyczerpało wreszcie ostatnią kroplę cierpliwości krzywdzonych bezustannie wędrowców; nastąpił krwawy odwet, poczem już dnia 7 Stycznia karawana bez przeszkody przybyła do jeziora Baryngo.

Skład jej ówczesny był następujący: Dr. Peters i porucznik Tiedemann, 50 tragarzy, 10 żołnierzy, 3 przewodników z wielbładami, 2 kuchcików, i 3 służących. Prowadzono ze sobą 3 wielbłądy, 6 osłów i 350 owiec, zabranych jako łup wojenny rozbójniczym plemionom Massai.

(Dokończenie nastąpi).

ZBOŻE.

(Dokończenie).

Były jednak dawniej takie czasy, że zawitek nikt nie potrafiłby zrobić, gdyż zboże nie tak rosło jak teraz. Otóż w tych bardzo dawnych czasach — jak głosi opowieść rozpowszechniona w Królestwie i w Galicyi, a znana także i u Łotyszów na Inflantach — kłosy poczynęły się od samej ziemi i szły do góry na całą długość dzisiejszego żdźbła słomy. Ludzie mieli tyle chleba, że nie wiedzieli, gdzie go podziwiać, i, jak to zwykle się dzieje gdy jest czego do zbytku; nie umieli go szanować. Aż raz jednego Pan Jezus, chodząc po wsiach, spostrzegł, że dar Boży na straszną poniewierkę jest wystawiony, wszedłszy bowiem do pewnej chałupy, widział jak matka ośrodkiem chleba robiła porządek koło swego dziecka. Oburzony tem, wybiegł na pole, zgarnął wszystko zboże do garści i ciągnął w górę aby je zupełnie ogołocić z ziarna i zniszczyć nazawsze. Na szczęście, na tę chwilę właśnie nadeszła Matka Boska i rączką swoją uchwyciwszy kłosy u góry, prosiła syna, żeby zostawił to, co trzymała, dla jej ulubieńców, dla kotka i dla pieska. Juści Pan Jezus nie mógł odmówić matce i tym sposobem ocalała cząstka dawniejszego kłosa, którą też Matka Boska darowała ludziom, wkładając na nich obowiązek żywienia kotka i pieska. Jak widać z tego, utraciliśmy swoje i żyjemy się dzisiaj tą cząstką tylko, która przypada na kotka i na pieska.

Nie ulega też wątpliwości, że i u Słowian, tak, jak u Greków i Rzymian, musiały być uroczystości poświęcone bóstwom opiekuńczym rolnictwa. Świadczą o tem dożynki, będące oczywiście ich pozostałością i należące dotąd do obchodów do-

rocznych, rozpowszechnionych po wszystkich ziemiach słowiańskich na wsi. Główna ceremonia wszędzie polega taksamo na uwieńczeniu gospodarza i gospodyni wieściami ze zboża, przy śpiewie zastosowanych do tego pieśni, poczem gospodarstwo wyprawiają zniwiarzom suty poczęstunek i zabawę z tańcami.

Ceremonia ta zwana w Krakowskiem „wyżynką“ i przywiązana do chwili ukończenia zbiorów pszenicy, odbywa się tam, podług opisu Kolberga, w następujący sposób: Gdy już zniwiarki dożynają niwy, wtedy dziewczęta zaczynają wiewieć z kłosów pszenicznych, a kobiety z pokrzywy, ostu i różnego zielska, poczem idą do dworu, prowadząc t. zw. złodzieja. Jest to parobek, który ma sukmanę przewróconą na lewą stronę, kolana obwiązane powrośłami, ręce, niby w kajdanach, także powrośłami związane na plecach snop pszenicy, a na głowie wieniec z ostrejnic (*Rubus fruticosus*). Zniwiarze pędzą go przed sobą, bijąc pretami i powrośłami, baby lecą obok postrojone w wiewie z chwastów różnych; za nimi idą dziewczęta w wieniec z pszenicy na głowie i w cztery lub sześć niosą na drągach olbrzymi wieniec, przeznaczony dla państwa na podarunek. Jest on bardzo sztucznie zrobiony z obręczy, na której dwa obłaki, przytwierdzone na krzyż i wygięte, tworzą kształt korony, cały opleciony kłosami pszenicy i różnymi kwiatami, wśród których widnieją pierniki, orzechy, na samym wierzchu zaś przystrojony czerwoną wstążką z długimi fruwającymi końcami.

Skoro staną przed dworem i zanucą pieśń okolicznościową, pan wychodzi na ich przyjęcie, wykupuje złodzieja, napominając go, aby więcej snopków nie ściągał, poczem bierze wiewie od dziewcząt i daje im parę sztuk srebrnych. Tymczasem baby się cisną, wiążą mu powrośłami nogi, i wiewie swoje pakują na głowę, przyczem każda swój wieniec zachwala, przyganiając innym. Musi więc pan i im się wykupić jakim datkiem, poczem częstuje wszystkich wódką lub piwem i wyprawia natychmiast zabawę, albo też odkłada ją napotem, aż do ukończenia całego żniwa.

W ceremonii tej uderza ta okoliczność znamienista, że się pszenicę wyszczególnia przed wszystkimi innymi zbożami i do niej się właśnie odnosi obchód dożynek. Nic w tem zresztą dziwnego: wszak to u nas najprzedniejsze i najdroższe ziarno, któremu się z natury rzeczy należy pierwszeństwo, zwłaszcza, że, jak opowiadają starzy ludzie, toć kołacz pszenne z makiem należał do przysmaków litewskiego olimpu pogańskiego. W pieśniach ukraińskich jest ona symbolem młodej, pięknej dziewczyny, mianowicie oblubienicy idącej do ślubu. A ponieważ pszenica przewyższa zaletami swemi żyto, przeto śpiewa młody Ukrainiec, że nie zasieje żyta, tylko pszenicę, i że się nie ożeni z wdową, tylko z dziewczyną.

Używa też ona pewnego znaczenia przy obrzędach weselnych u wszystkich prawie Słowian. U Słowaków węgierskich rzucają rodzice pszenicą na państwa młodych, gdy wracają od ślubu, albo też nią posypują pannę młodą, kiedy się sprowadza do domu męża. Na Ukrainie rzucają przy tejsamej sposobności na pannę młodą pszenicą, na pana młodego — owsem.

Ciekawe jest nadto podanie ukraińskie odnoszące się do ucieczki Matki Boskiej do Egiptu. Orał chłop pole, na jednym końcu orał, na drugim siał pszenicę, kiedy na miedzy ukazała się Matka Boska niosąca synaczka na ręku. „Szczęść Boże!“ powiedziała gospodarzowi i kazała mu, że jak przylecą żydzi i będą się o nią dopytywać, to żeby im powiedział, iż ją widział, ale wtedy jeszcze jak zasiewał pole. Matka Boska oddaliła się i znikła, a chłop patrzy, że już mu pszenica urosła i dojrzała, i że trzeba czem prędzej zabierać się do żniwa. Jakoż kończył już żąć, kiedy przybiegli żydzi dopytując się: czy nie szła tędy piękna pani z synkiem na ręku? On im też odpowiedział, że szła w tę porę właśnie, kiedy siał pszenicę, a żydzi, myśląc, że to już bardzo dawno było, zaprzestali ścigania i odeszli z niczem.

Niemalą się też wślawiło to zboże przez pewną mądrą babę, która prowadziła handelek

z dyablem, obsiewając nim pole do spółki, a działało się to zaś w owych czasach, kiedy dyabeł był głupi jeszcze, bo potem i on zmadrał. Dzielił się płonami po polowie, a baba sobie wzięła pszenicę wierzchem, jemu zaś dała spodkiem, t. j. zabrawa kłosy, a jemu zostawiła korzenie. Więc też przy następnym podziale uparł się, że weźmie wierzchem, a baba niech bierze spodkiem, ale że tym razem były to kartofle, więc znowu źle wyszedł i zaniechał raz-na-zawsze spółek handlarzskich z obrotną babą.

Występuje też nieraz i żyto w znaczeniu symbolicznym. Śpiewa dziewczyna na Ukrainie, że żyta nie siała, a samo urosło, i że nie szukała kochanka lecz sam przyszedł. A jak chłopcy przenoszą pszenicę nad żyto i dają pierwszeństwo pannie nad wdową, tak znowu śpiewają dziewczęta: „Lepsze żyto, niżli owies lepszy chłopiec niżli wdowiec“. W Czechach przypisują zbożu temu różne własności lecznicze. Kto na wiosnę po raz pierwszy widzi żyto kwitnące, powinien wziąć trzy kłosy i długo się w nie wpatrywać, to przez cały rok nie zachoruje na żółtaczkę. Jeżeli nadto zje trochę kwiatu, to nie będzie miał kurczów, a jeżeli go choć obliże, nie dostanie febry.

W systematyce botanicznej — bo dla całości obrazu trzeba i tej strony dotknąć choć pobieżnie — tak żyto jak i pszenica należą do rzędu roślin trawiastych, z kwiatem kłosowym w szczególności. W ogólności zaś zaliczają się do działu roślin jednoliściennych, t. j. takich, które kiełkują jednym liścieniem i jako jedną z głównych cech wspólnych mają żebra i nerwy biegnące równolegle wzdłuż liści, podczas gdy u roślin dwuliściennych są one rozgałęzione siatkowato. Kwiaty żyta i pszenicy są zupełne, mają po trzy pręciki i po jednym słupku wolnym. Kłos żytni składa się z mniejszych kłosek, z których każdy ma dwa kwiaty boczne rodzajne, a trzeci środkowy niewykształcony i płonny. Zewnętrzna plewka każdego kwiatu kończy się ością prostą, szorstką i długą. Podobnie i kłos pszenicy składa się z kłosek mniejszych, mających po trzy i cztery kwiaty, z których jeden tak jak w życie, zawsze jest płonny. Plewki osłaniające kwiat czasem mają ości, czasem nie mają ich wcale; zależy to od gatunku rośliny.

Wiemy wszyscy, jak doniosłe jest znaczenie pszenicy i żyta w sprawie naszego odżywiania się, skoro stwierdziły liczne doświadczenia, że pokarm w dostatecznej ilości z dobrego chleba i wody zupełnie wystarcza człowiekowi. Zresztą pożyteczności zbóż dowodzą same ich składniki. I tak: wykazała analiza chemiczna żyta i pszenicy, że na 100 części wagi, zawierają one 61 do 67 części skrobi, której część przeistacza się w gumę i w cukier gronowy, tłuszczu ma żyto 1,75, pszenica 1,42, — substancji białkowych żyto 9,5, pszenica 1,42, — fosforanu wapna żyto 0,07, pszenica 0,16, — wody od 10 do 11 części. Widać więc z tego, że zawierają one prócz skrobi potrzebnej w procesie oddychania, substancje białkowe, niezbędne do wytwarzania krwi, i fosforan wapna, jako materyał na kości. Trzeba nadmienić przytem, że w pszenicy warstwa zewnętrzna ziarna obfituje w związki azotowe, podczas gdy zawartość jego składa się z samej prawie skrobi. Dla tego też im bielsza mąka, tem mniej ma części pożywnych.

Ciekawa rzecz, że obie te pożyteczne rośliny podlegają chorobom spowodowanym przez grzybki pasożytne, które wielką szkodą im czynią. Pszenicę nagabuje grzybek prószniak, który wżera się we wnętrze ziarna i zamienia je w papkę czarną i cuchnącą. Żyto znowu bywa napaśowane przez prószniak, zwany „sadzakiem purpurowym“ (*Claviceps purpurea*), którego zarodek, najczęściej przez owady занiesiony, sadowi się w czasie kwitnienia na zawiązku ziarna żytniego wyrasta w nitkę, rozgałęzia się, i wewnątrz i na powierzchni kwiatu i poczyną go toczyć. Pokrywają go białą pilśnią swą grzybną i stoczywszy całkowicie, przeobraża się w t. zw. sporysz (*Sclerotium Clavus*), który tkwi w kłosie i wystaje zeń w postaci zakrzywionego różka czarnego czyli raczej ciemno-fioletowego z wierzchu, białego wewnątrz. Różek ten trójgraniasty, brzdolany podłużnie, a dobrze znany mieszkańcom

wiejskim jest właściwie *przetrawnikiem*, t. j. ni-
by magazynem zarodkowym sadzaka purpurowe-
go. Po dojrzaniu bowiem, spadłszy na ziemię, le-
ży do następnej wiosny i w czasie kwitnienia ży-
ta wydaje nowe pokolenia grzybków, które z ko-
lei przenoszą się na kłosa i kosztem ich prze-
kształcają się w sporysze. Jest to proces nie-
skończony, który można przerwać tylko przez
troskliwe oddzielanie sporyszu od ziarna żytnie-
go, co jest nawet rzeczą obowiązującą, gdyż ziar-
na zmielone razem z tym pasożytem dają mąkę
szkodliwą dla zdrowia, bo zanieczyszczoną pier-
wiastkami trującymi. Same zaś rozki można spie-
niać korzystnie po aptekach, jako mające za-
stosowanie w medycynie i popyt nietylko w Euro-
pie, ale większy jeszcze w Ameryce; faktem jest
bowiem, że co roku wprowadza się ich do Sta-
nów Zjednoczonych w ilości dosięgającej niemal
stu tysięcy funtów. W handlu znają je pod
nazwą *Secale cornutum*, co znaczy dosłownie
„żyto rogate“.

I oto monografia naszych zbóż, głównie
pszenicy i żyta. Skreślona pobieżnie, nie wyczer-
puje ona bynajmniej materiału, który przedsta-
wia taką obfitość i wielostronność, że starczyłby
na zapełnienie kilku tomów. Jest więc małym
tylko przyczynkiem do wiadomości, które może
ktoś jeszcze zbierze i opracuje, i które dałyby
niezawodnie rzecz nową i ciekawą, ze względu,
iż zboże jest jednym z najważniejszych czynni-
ków bytu ludzkiego.

Stefania Ulanowska.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Zimne lato. — Choroba słońca. — Idea korespondowania
między planetami.

Słowno o tegorocznej kapryśnej pogodzie.

Powszechnie utrzymują, że po ostrej zimie,
następuje gorące lato. Tymczasem spostrzeże-
nia, dokonywane w wielu naraz miejscowościach,
w przeciągu całych dziesiątków lat wykazują
najzupełniej inny rezultat.

I tak np. dla Wiednia i jego okolic wykazał
D-r Hann, że po surowych zimach, t. j. zimach,
które przynajmniej wykazywały o jeden stopień
niżej od normalnej temperatury, w 73% wypad-
kach, miały po sobie chłodne lata. Lato roku
1880, które nastąpiło po nadzwyczaj surowej
zimie 1879 i 1880, było o 0.6 stopnia chłodniejsze
aniżeli lato 1881, poprzedzone łagodną zimą.
Czerwiec roku 1880 był pod względem pogody
wielce podobny do tegorocznego. Lipiec był
wprawdzie gorący, za to Sierpień był znacznie
chłodniejszy niż to zazwyczaj miewa miejsce.
Lato zaś roku 1881, szczególnie koniec Czerwca,
był nadzwyczaj gorący, co przetrwało do po-
łowy Sierpnia, w tym czasie termometr wskazy-
wał w cieniu do 33.5° C., a w 44 dniach przekra-
czała temperatura południowa 25° C. w cieniu.
Zdaje się, iż głównie surowa zima oddziaływa na
lato, gdy jednocześnie spadną obfite śniegi, jak
to właśnie miało miejsce ubiegłej zimy, w której
Grudzień był o 5°, Styczeń o 4.5°, Luty o 2°,
a Kwiecień o 2.5° zimniejszy, od liczby przecięt-
nych. Jedynie Marzec był cokolwiek — o 0.7°
cieplejszy, niż normalnie. Przytem spadały nie-
zwyczajnie wielkie śniegi i przetrwały do późnej
wiosny. Góry średniej wysokości były dłużej
niż zazwyczaj pokryte białym całunem, a jeziora
górskie do końca Kwietnia zamrażnięte. Gdy
wreszcie w Maju nastąpiła cieplejsza pogoda,
topienie się wielkich mas śniegu powodowało
w Europie środkowej czas nadzwyczaj pochmur-
ny. Pogody, wolnej od chmur, przez czas dłuż-
szy, nie mieliśmy, lato było dotąd chłodne i nie-
zwyczajnie wilgotne.

Przypisać to należy zatem obficie spadłym
śniegom podczas zimy, a także, tej okoliczności,
że podczas lata spadały one w górach również
w niezwyklej obfitości.

Wielkie upały, prócz dwóch czy też trzech
dni, jakie panowały w Europie środkowej, do-
tknęły w tym roku Hiszpanią.

Po takim lecie można mieć nadzieję, że bę-
dziemy mieli pogodną i ciepłą jesień. Opady de-
szczowe oddziaływały odświeżająco na wegetację.
Na drzewach niema jeszcze dotąd liści wię-
dniejących, a łąki prawie wszędzie pokryte są
bujną zielonością.

*

*

*

Spojrzymy teraz na słońce, nad którego zmia-
nami debatowano obszernie na jednym z ostatnich
posiedzeń akademii nauk w Paryżu. Odbijają
się na naszej największej gwiazdzie zmiany, które
wprawiają od paru miesięcy astronomów
w zdumienie. Nie mniej, nie więcej, skonsta-
towano, że słońce jest chore, a dyagnoza tak się
przedstawia:

W pewnych okresach czasu, których ściśle
oznaczyć niepodobna, tarcza słoneczna pokrywa
się wielkimi brunatnymi plamami. Zmiany te
oddziaływają na naszą ziemię, mianowicie pocią-
gają za sobą niezwykle i zarazem nieprzyjemne
stany atmosferyczne.

Ścisłe i systematyczne obserwacje, przeprowa-
dzone w tym kierunku, wykazały, że kiedy
jeszcze przed rokiem tarczę słoneczną pokrywało
45 grup plam brunatnych, w przeciągu obecnego
półroczia liczba ich dosięgła 65. Zdaje się nie-
podlegać wątpliwości, że to, co nazwano chorobą
słońca, wzmagą się stopniowo w natężeniu, a sku-
tkiem tego i ziemia zaczyna cierpieć, mianowicie
stają się na niej coraz ostrzejsze zmiany atmo-
sferyczne. Zimna i deszcze mamy prawie bezu-
stannie, niebo zachmurzone, brak promieni sło-
necznych, a gdy nawet pojawi się słońce na wi-
dnokregu, jest zaplamione. Ziemia cierpi sym-
patycznie ze słońcem, to widoczne...

Obserwując przy pomocy teleskopu o szklach
ciemnych ową olbrzymią kulę ognistą, oddaloną
prawie o 20 milionów mil od ziemi, a 1.279.000
razy od niej większą, dostrzegamy na jej po-
wierzchni plamy. Czy są one wypukłe, czy
wklęsłe, czy stanowią otwory wielkich kraterów,
tego określić niepodobna. Plamy te dosięgają
niekiedy znacznych rozmiarów. Arago już zau-
ważył jedną większą cztery razy od tarczy kuli
ziemskiej. Znaczenia ich dotąd nie zdołano ob-
jaśnić. To tylko pewna, że nie są to jakieś
wyziewy słońca znajdujące się w jego atmosferze,
albowiem wraz z niem obracają się stale, na je-
dnym miejscu. Zdaje się również nie ulegać
wątpliwości, że pewne zjawiska na naszym globie
pozostają w ścisłym związku z owymi plamami,
o czym przekonano się z licznych obserwacji,
prowadzonych od dawnego czasu.

Dobrze jest znaną rzeczą, że np. igła magne-
sowa w pewnych momentach przeniewierza się
swemu przyciąganiu ku biegunom, podskakuje,
a nawet dosyć znacznie zbacza. Udowodniono
obecnie, że właśnie plamy słoneczne na owe zbo-
czenia igiełki magnesowej posiadają wpływ. Je-
żeli tylko ilość plam zwiększa się, natychmiast
zauważyć można niepokój w igle magnesowej,
gdy plamy bledną lub znikają igła się uspokaja.
Tym zaburzeniom igły magnesowej towarzyszą
nierzadko tego rodzaju zjawiska jak zorze pół-
nocne i trzęsienia ziemi. W czasie trzęsienia
ziemi igła magnesowa gwałtownie się chwieje
i zbacza od kierunku prawidłowego. Oba te zja-
wiska pozostawać zatem muszą w zależności od
zwiększania się liczby plam słonecznych.

Astronom Lacerda obserwował w roku 1884,
w Lizbonie, podczas trzęsienia ziemi, igłę magne-
sową i słońce. Pierwsza niepokoiła się w wyso-
kim stopniu, na drugim plamy były liczniejsze
i wyrazistsze niż zazwyczaj. Wieczorem zaja-
śniała nad Lizboną zorza północna, zjawisko
w tamtych strefach niezmiernie rzadkie.

Prócz tego astronom Sir Melrum, który badał
w ostatnich czasach w obserwatorium na wyspie

Św. Maurycego plamy słoneczne, dostrzegł między
nimi a cyklonami oceanu Indyjskiego niewątpli-
wy związek. Utrzymuje on, że *maximum* plam od-
powiada ściśle największemu natężeniu cyklo-
nów. Obserwacya ta sprawdza się także i w ro-
ku bieżącym.

Wreszcie dyrektor statystyki w Indjach Wscho-
dnich utrzymuje, że daty wielkich głodów odpo-
wiadają zwiększonej liczbie plam słonecznych.

Nie zdaje się także podlegać wątpliwości, że
wylewy rzek, wezbrania jezior również biorą po-
czątek w cierpieniach słońca.

O słońce, bądź nam zdrowe!

*

*

*

Pewna bogata dama, która zmarła 30 Czerwca
r. b. w Pau, wyznaczyła w testamentie nagrodę
w ilości 100.000 franków dla tego, kto znajdzie
sposób porozumiewania się z inną planetą i otrzy-
ma ztamtąd odpowiedź. O nagrodę ubiegać się
mogą uczeni wszelkich narodowości, a termin
prekluzyjny wynosi 10 lat, licząc od chwili ogło-
szenia testamentowego zapisu.

Z tego powodu pisze znany astronom — fanta-
styk francuzki, Flammarion:

„Idea korespondowania z innymi ciałami nie-
bieskimi nie przedstawia nic nie możliwego, być
nawet może, że jest mniej śmiałą, aniżeli myśl
o telefonie, fonografie, fotofonie i kinetografie.

„Trójkąt narysowany na księżycu za pomocą
trzech świecących linii, mających długości 12 do
15 kilometrów każda, byłby dokładnie widzianym
z ziemi przy pomocy naszych teleskopów. I od-
wrotnie gdybyśmy sporządzili na płaszczyźnie
podobny trójkąt np. z przedmiotów odbijających
silnie promienie słońca, albo z lampek elektrycz-
nych, byłby on, w pierwszym razie podczas dnia,
w drugim podczas nocy, widzianym na księżycu,
naturalnie, jeżeli tam posiadają teleskopy podob-
ne do naszych.

„Rezultaty z tego wynikają następujące: — Gdy-
byśmy dostrzegli na księżycu regularnie nakre-
ślony trójkąt, w początkach byłibyśmy z pewno-
ścią wielce tem zdziwieni i zadalibyśmy takie
prawdopodobnie pytanie: czy tego rodzaju trój-
kąt powstał przypadkowo, czy geologiczne czyn-
niki mogły coś podobnie regularnego stworzyć?
W końcu wypadłoby zgodzić się na tę ostatecz-
ność. Gdybyśmy jednakże następnie dostrzegli,
że trójkąt zmienił się w kwadrat, a w kilka mie-
sięcy potem w koło, to: z mocy prawa logiki, że
rozsądny skutek bywa następstwem rozsądnej
przyczyny, przypuścilibyśmy, iż podobne figury
wykazują istnienie geometrów.

„Teraz do odszukania przyczyny — po co nary-
sowano na księżycu figury i w jakim celu nasi
niebiescy sąsiedzi to czynią — pozostałoby tylko
jeden krok do zrobienia. Czy nie czynią tego
czasami w celu zawiązania z nami koresponden-
cyi? Jest to hipoteza nie pozbawiona prawdopo-
dobieństwa. Znalazłaby zwolenników i przeciw-
ników z pewnością. Dlaczego zresztą nie miała-
by być prawdziwą? Dlaczego mieszkańcy księżyca
mieliby mniej posiadać zamiłowania od nas, dła-
czego mieliby być mniej wykształconymi? Dłatego-
by mieli przypuszczać, że ziemia nasza jest nie-
zamieszkalną i dlaczego mieliby nie spróbować
wejść z nami w korespondencyę? Zresztą odpo-
wiedź na to nie trudna. Pokazują nam trójkąt:
pokażemy im to samo. Pokazują koło: nakreśli-
my im to samo. I w ten sposób zawiąże się poraz
pierwszy od stworzenia świata korespondencya
między niebem a ziemią.

„Ponieważ geometrya jest jednakową dla mie-
szkańców wszystkich światów: dwa razy dwa sta-
nowić będą we wszystkich zakątkach świata,
cztery; a summa trzech kątów w trójkącie wszę-
dzie równać się będzie dwóm kątom prostym — to
sygnały między ziemią a księżycem nie przedsta-
wiałyby nawet takiego zawiązania jak hieroglify,
odczytywane przez Champoliona, a zawiązana
w ten sposób korespondencya stałaby się wkrót-
ce prawidłową i wielce pożyteczną. Przy tem
księżyc od nas oddalonym jest wszystkiego na
dwa kroki. Odległość wynosi 384.000 kilometrów,
wszystkiego zatem 30 razy więcej od średnicy

ziemi, a przestrzeń taką wielu listonoszów miejscskich przebywało podczas swego krótkiego żywota. Telegram doszedłby tam w sekundę i ćwierć. Księżyc jest ciałem niebieskiem, przez naturę złączonym z naszymi losami.

Tyle słów p: Flammariona co do księżyca; na tem jednakże nie koniec, w celu zaprowadzenia korespondencji z Marsem, *respektive* w celu uzyskania owych marnych 100.000 franków, rozpoczyna także ataki do planety noszącej powyższe, wojownicze miano.

„Mars nigdy nie jest mniej oddalony od ziemi, niż o $7\frac{3}{4}$ milionów mil, zato jest to najlepiej poznana planeta i przedstawia takie podobieństwo z naszą ziemią, że przeniosłszy na nią swe lary i penaty nie doznałibyśmy wielkich przykrości. Znajdują się na niej lądy, morza, wyspy, zatoki, chmury, deszcz, wylewy, śnieg, pory roku: zima i lato, wiosna i jesień, dnie i noce; wszystko prawie urządzone tam jest, jak u nas. Podczas jasnej, gwiazdzistej nocy, obserwując tę planetę przez teleskop, dostrzedz można kolosalne masy polarnych śniegów, ulegających w lecie stopieniu, wielkie morza z głębokimi zatokami i pomimowoli trzeba sobie zadać pytanie: czy nie oświeca słońce czegoś żywego na tem ciełe niebieskiem, na tym świecie, czy deszcze nie użnają gruntów jego, czy nie oddychają atmosferą jakieś istoty żyjące, czy też ów Mars, krążący w przestrzeni z taką szybkością, podobnym jest do pociągu kolei żelaznej mknącego bez wojażerów i usług?

„Przypuszczenie, że ziemia nasza, obracająca się około słońca, a na której my żyjemy, jest niezamieszkalną byłoby takim absurdem, że o tem nawet myśleć trudno. Dla czegożby siły natury, działające równie tam jak i tutaj, miały pozostać tam bezpłodnymi?

„Dla tego też można skierować naszą myśl ku Marsowi i zastanowić się nad tem, co pierwotnie odnosi się miało do księżyca. Odległość Marsa od Ziemi jest tak wielką, że chociaż wielkością przewyższa on o wiele księżyc, mimo to przy największym zbliżeniu wydaje nam się 63 razy mniejszym. Z tego widoczna jest rzeczą, że teleskop powiększający tylko 63 razy pokaże Marsa w takiej wielkości, w jakiej dostrzegamy księżyc gołem okiem, a przy powiększeniu 630 razy Mars będzie miał średnicę dziesięć razy większą od naszego satellity.

„Gdyby kto zapragnął urzeczywistnić w praktyce korespondencją, wypadłoby robić trójkąty, kwadraty i koła nie wielkości kilku kilometrowej lecz posiadające całe setki kilometrów — a to na mocy następującej hipotezy: 1) że na Marsie są mieszkańcy; 2) że zajmują się astronomią; 3) że posiadają narzędzia optyczne, podobne do tych, jakie my posiadamy; 4) że uważnie obserwują naszą planetę, która przedstawia się dla nich jako wspaniała poranna i wieczorna gwiazda pierwszej wielkości.

„Co do tego czwartego punktu, byłoby wielką zarozumiałością utrzymywać, że tylko my jedni we wszechświecie jesteśmy istotami wykształconymi, że gdyby nawet mieszkańcy Marsa dostrzegli nasze sygnały, nie odpowiedzieliby na nie; więc pocóż zaczynać?

„Tak mówiło się jeszcz niedawno, lecz obietnica szanownej damy z Pau dowodzi, że idea toruje sobie drogę w umysłach, i przestaje być czysto fantastyczną.

„Prawdopodobnie zapyta ktoś: dlaczego, jeżeli na Marsie żyją ludzie podobni do nas, dlaczego nie rozpoczną pierwsi korespondencji? To jeszcze nie dowiedzione, że tego nie robią! Proszę przyrzec się mapom wydanych przez Schiaparellego w Medyolanie, a nie trudno przekonać się o istnieniu na nich geometrycznych tryangulacji, a także miejscami są punkta świecące, przypominające wyżej wymienione sygnały. Prawdopodobnie jest to coś zupełnie innego, prawdopodobnie nasi niebiescy sąsiedzi zajmują się nami tak mało jak my nimi, lecz gdyby robili inaczej, rozpoczęliby właśnie swe dzieło w podobny sposób.

Jakkolwiek rzeczy się mają, nam byłoby trudniej posyłać sygnały, niż odbierać od nich, a to z powodu naszej lokacji w przestrzeni. Mianowicie: ciemna półkula ziemi zwróconą jest

w stronę Marsa właśnie w chwili najbardziej stosownej do obserwacji, gdy Mars całkowicie zwraca się ku nam swą oświetloną swą tarczą.

W dalszym ciągu owych fantastycznych wywodów, które może kiedyś przyobleką się w ciało, domaga się astronom francuzki przeznaczenia części pieniędzy wydawanych na militarizm, — na cele astronomiczne, przyczem otrzymanie nagrody uważa za rzecz możliwą. Kwestya tylko kiedy to nastąpi i kto otrzyma?

Dr. Józef Starkman.

JUSTYNÓWKA

OBRAZEK Z ŻYCIA LETNICH MIESZKAŃCÓW W MROZACH

przez

BOGUMIŁA HOFFA.

(Dalszy ciąg)

Szli ścieżką wiodącą na dół ku dolinie. Po drodze odezwała się Justynka:

— Jaka to ogromna różnica między wczorajszą naszą przeprawą a dzisiejszym spacerem! Krótka tylko przestrzeń czasu dzieli obecną chwilę, pełną przyjemności, od nocy, pełnej grozy. Nigdy ci tego nie zapomnę, uczciwy mój Janie, żeś mi zjawił się w samą porę, by mnie ocalić od zguby!

— Nic tak wielkiego nie uczyniłem.

— Czuję więcej, niżeli ci to wyrazić mogę, ile ci zawdzięczam. Wiesz co, Janie, zaprowadź mnie do tego miejsca, gdzie siedziałam i czytałam i gdzie wpadłam do dołu.

— Dobrze, panienko — ale w takim razie musimy iść naprawo.

— Najpierw pójdziemy do twojej matki.

— To przejdźmy tu, około stawu.

Justynka zatrzymała się. Widok stawu w porannym oświetleniu zachwycił ją.

Pagórek, dosyć wysoki, pokryty wysokopienym bujnym lasem, wznosił się majestatycznie ponad stawem, rzucając czarne i długie cienie na zwierciadło spokojnej wody.

Cały brzeg lasu w ciemnym, prawie czarnym, pograżony cieniu, miał coś tajemniczego w sobie, zwłaszcza przy gęstych zaroślach przeciwległego brzegu stawu. Przypominało to żywo podania o wodnicach.

I Justynce przypomniał ten widok obraz Mireckiego, przedstawiający lilie wodną, bo wistocie z nad ciemnego tła odbijały się duże, białe kwiaty lilii wodnej, spoczywające niby, na dużych okrągłych zielonych liściach wśród głębi wody.

— Prawda, że tu pięknie!

— Tak, panienko.

— Ach, gdybym tak mogła popłynąć po wodzie! zdawałoby mi się, że jestem takim duchem wodnym.

— Jeżeli panienska chce, — to mogę poprosić młynarza o łódkę.

— Czy jest tu łódka?

— Jest.

— Ach, zrobiłbyś mi wielką przyjemność, — ale umiesz też wiosłować?

— A, umiem.

— Idź więc po łódkę.

— Proszę tu zaczekać, zaraz podjadę.

I Janek pobiegł.

Niedługo ukazała się łódka, kierowana wprawą ręką Jana i, przerywając gładką powierzchnię, wywołała falowanie wody, za którym poruszyły się i lilie wodne.

Łódka przybiła do brzegu, a Justynka, z bijącym rozkoszą, a może trochę i obawą, sercem, wsiadła do niej, przy pomocy podanej przez Janka ręki.

Odbił od brzegu i trzymając się środka stawu, przepłynął wszcz.

Justyna doznawała z początku uczucia strachu, lecz uspokoiła się wkrótce.

— Czy już mam wysiąść?

— Jak panienska chce.

— Ach, popłynęmy jeszcze dalej, tu, wzdłuż lasu.

— Dobrze, panienko.

Popłynęli dalej — coraz dalej, tam, gdzie staw wchodzi w głąb lasu, w dziwacznych zakrętach, to zwiężając się, to rozszerzając wśród gęstwiny.

— Ach, Janku, jak tu ładnie! — zawołała Justynka. — Zupełnie jak w opisach takich pięknych krajów, co są ztąd bardzo daleko. Patrz tu, jaka gęszcz około olbrzymich drzew. Co to za roślina bujnie pnę się do góry?

— To chmiel dziki.

— A to zapewne bluszcz?

— Tak jest.

— Patrz, jaka trawa wysoka i kwiaty! Zapewne i węzów nie zbraknie.

— A, są tu i węże.

— To tu niebezpiecznie blisko brzegu?

— Nie, panienko, węże nie wychodzą na wodę.

— A jak precudnie śpiewają ptaki! Czy to nie słowiki?

— To słowik, panienko.

— Zatrzymaj się, aby nie spłoszyć słowika.

— W tym roku dłużej śpiewają słowiki, niż zwykle, bo spóźniona była wiosna.

— Cicho, nie przeszkadzaj.

Janek zatrzymał łódkę i z uwielbieniem patrzył na towarzyszkę, gdy tymczasem ona zupełnie zajęta była otoczeniem i śpiewem słowika.

Po chwili milczenia odezwała się: — Jedź dalej, Janku — czy można jeszcze?

— Można.

Popłynęli jeszcze głębiej w las.

Otoczenie zmieniało się z każdym pchnięciem łódki, a Justynka zbierała bukiet z kwiatów wodnych.

Nareszcie dopłynęli do końca stawu, a właściwie do miejsca, gdzie się on zwięża w mały strumyk. Ztamtąd już powrócili.

Justynka, w najlepszym usposobieniu, opowiadała Janowi wiele ciekawych rzeczy z podróży po nieznanych krajach sławnych podróżników.

Dobili do brzegu u młyna i wysiedli.

— Janie, wielką sprawiłeś mi przyjemność. Dziękuję ci serdecznie. A teraz śpieszmy do twojej matki.

Zapuscili się głęboko w las.

Justynka: nie zadała sobie pytania: czy to rozstrojnie, puszczając się tak samnasam w las z wieśniaczym chłopakiem mało znanym?

Z pewnością takie pytanie nie przeszło przez jej myśl. Powierzyła się prostemu chłopu i zachowała całą wiarę w jego uczciwość.

Jest to jedna z największych zalet naszego ludu wiejskiego, ta uczciwość. Ma on wielkie przywary, lecz zupełnie innego rodzaju.

Czy Justynka z którymkolwiek z panów znanych z Warszawy puściłaby się w lasy samnasam?

Nigdy.

Z Jankiem było zupełnie co innego. Jego obecność była jej potrzebną dla jej spokoju i bezpieczeństwa.

Z początku szli pod górę, a następnie po dosyć równej drodze wzdłuż grzbietu pagórka, w cieniu niebotycznych drzew.

Wyszli na drogę szeroką, prowadzącą z lasu na dół.

Tu zatrzymała się Justynka.

— Dokąd prowadzi ta droga?

— Z Kuflawa do stacy i dalej do Kałuszyna.

— To stacya tam, na dole?

— Tak, panienko.

— Ach, jakie romantyczne położenie! Patrzno, jaki cudny krajobraz! Śliczna dolina!

Janek tak często widział to wszystko, że nie zachwycał się już widokiem okolicy: wołał się cieszyć, patrząc na Justynkę, że panienska taka piękna i taka dla niego dobra.

Widok z tego punktu wysoko położonego rzeczywiście wart był oglądania.

Dwa pasma pagórków, prawie równoległych

i dosyć wysokich, rozciągają się w kierunku od wschodu ku zachodowi. Między temi wyżynami ciągnie się dolina mająca wiele krajobrazowego uroku.

Cały pagórek od strony Kuflewa pokryty jest ciemnym wysokopiennym lasem, dochodzącym do samego spodu doliny, gdzie ciągnie się cały szereg stawów, niby wstęga błękitna, obrąbiona krzakami, trzciną i łąkami, w rozmaitych odcieniach zieleności.

Gdzieniegdzie ową wstęgę wodną przerywają młyny, mosty, a ponad całym tem pasmem w dole wznosi się stacya drogi żelaznej.

Wyżej nad stacyą ciągną się prawie w jednej linii kolonie: domki różnego kształtu, otoczone sadami. Domki te służą Warszawiakom za letnie mieszkania.

Wyżej jeszcze wznoszą się pola z porozrzucanymi grupami drzew, a z prawej strony lasy.

Justynka, zachwycona widokiem, odezwała się:

— Nie mogę dosyć napatrzeć się temu krajobrazowi. Jacyśmy dziwni! — uciekamy do dalekich krajów, do Tyrolu, do Szwajcaryi, do Włoch i Bóg wie dokąd, wszędzie — po widoki, a nie wiemy, co we własnym kraju posiadamy. Niema tu wprawdzie żadnych niebotycznych, wiecznym śniegiem pokrytych Montblanów, Jungfrau'ów, Altfaterów, Schneekopfów, Brockenów, Harców, Alp i Pyrenejów — chociaż i u nas nie brak wysokich gór, a dla takich miłych, rozkosznych krajobrazów, jak, na przykład, tu, to otoczenie stacyi nie mamy zrozumienia i upodobania. I ja znalazłabym się w podobnej nieznajomości piękna własnego kraju, gdyby nie smutne zdarzenia w naszej rodzinie i skutkiem tego nasza żaloba, która nie pozwalała nam wyjechać za granicę. — Ale chodźmy dalej. Przebacz Janku, że tak często zatrzymuję się po drodze.

— Nic nie szkodzi. Przepraszam, jeżeli się pytam, — czy już dawno umarli ojciec panienki?

— W przeszłym roku, w Październiku, na dwa dni przed moimi urodzinami i imieninami.

— A kiedy, z przeproszeniem, przypadają imieniny panienki?

— Siódmego Października. Smutny to był czas dla nas, bo i na tydzień przedtem pochowyaliśmy brata.

— A na co umarli?

— Brat na suchoty, a ojciec został tknięty paralizem. Przecierpialiśmy z mamą wiele, tak, że i ona rozchorowała się przeszłej zimy, lecz, chwała Bogu, wyzdrowiała i teraz mieszkamy tu dla pokrzepienia się świeżem waszem powietrzem. Patrz... patrz!... co to jest, od czego trzęsą się gałęzie?

— To wiewiórka.

— Prawda, miluchne stworzonko!

— Ale szkodne.

— To nic. Chciałabym mieć taką wiewiórkę, ale oswojoną, ułaskawioną. Już uciekał Chodźmy dalej.

Przeszli przez wysoki las, a następnie przez poręby, gdzie stały ustawione w długich szeregach sążnie drzewa.

Justyna ciekawa wypytowała się o każdy szczegół, a Janek tłumaczył i opisywał, o ile mógł, najdokładniej.

Nareszcie ukazały się zabudowania.

— Co to za domy?

— To domek gajowego.

— Więc tutaj twój dom?

— Tutaj.

— Ale tu więcej domów?

— Ten z przodu, to dom mieszkalny, a te inne — to stodoła i obory.

— Masz i krowy?

— Mam dwie.

— A matka w domu?

— Nie wychodzi nigdzie — bo chora zawsze.

— Co jej jest?

— Tak zawsze słabi — od czasu jak-eśmy się spalili, to się tak przelekli.

— Ten dom się spalił?

— Nie, panienko. Mielśmy naszą własną chałupę we wsi, ale bez gruntu — a pożar spalił więcej chałup, i naszą także. A matka tak się zlekli, bo to było w nocy, że z początku została prawie bez duszy, a potem chorowała, chorowała i do dziś dnia słabuje.

— Biedna! Więc leży w łóżku?

— Nie zawsze, czasem tylko. Dzisiaj wstała.

Zbliżali się do chałupy. Pies biały, dosyć duży, wybiegł na przywitanie Jana i pozwolił się Justynie głaskać.

W chałupie zastali matkę Jana, starą Weronikę, siedzącą na ławie przed łóżkiem. Zajęta była skrobaniem ziemniaków.

Długoletnia choroba wycisnęła na niej wyraźne swoje piętno.

Nu powitanie Justyny zwróciła cierpiące swe oczy w stronę przybyłych i usiłowała podnieść się z ławeczki.

Justyna, przejęta współczuciem, nie dopuściła do tego i sama usiadła naprzeciw niej na podanym przez Jana stołku.

— Przyszłam odwiedzić was, matko!

— Bóg zapłać paniencel!

— Wasz syn wyświadczył mi wczoraj wieczorem przysługę wielką.

— Janek mówił mi o tem.

— Szczęśliwi jesteście, że macie takiego dobrego syna.

— Bogu dzięki — dobry mój Janek.

— Opowiadał mi, że jesteście cierpiący.

— Tak, panienko, już od kilku lat — i długo już nie pociągnę!

— Nie traćcie nadziei, matko. Czy radziliście się doktora?

— Co mi doktor pomoże?

— Kto wie? w każdym razie dobrze-by było usłyszeć zdanie doktora.

— To zbyt cenne — już dla mnie niema pomocy. Po co też sobie robić wydatki, kiedy niema na to.

— Dla ratowania zdrowia nie trzeba żałować pieniędzy.

— Dobrze paniencie mówić — i tak nie wystarcza na życie!

— Pozwólcie, matko, że tu przyprowadzę doktora, skoro tylko przyjdzie do nas.

— Bóg wam zapłać — dla mnie niema już ratunku!

— Kto wie, matko? — możecie jeszcze wyzdrowieć zupełnie. Usłyszmy co doktor powie. Któż wam pomaga w gospodarstwie domowym? Nie macie nikogo więcej oprócz Jana?

— Jest i mała pasierbica. Pognała krowy na pastwisko.

— Mąż wam dawno już umarł?

— O, już kilka lat. Janek jeszcze był mały.

— A czem był wasz mąż?

— On był ekonomem na dobrach kuflewskich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCyny i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt XXVI-ty wyszedł z druku i zawiera między innemi: **Suchoty płucne, szczęki, szkarlatyna, szkoty, szyja. Tchawica, rozcięcie tchawicy, teatr, temperament, temperatura i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Kobieta w pieśni ludowej, przez M. I. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — **Podróżnicy Afrykańscy** (dalszy ciąg). — **Zboże**, przez Stefanią Ulanowską. (dokończenie). — **Z działu przyrody.** Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — **Justynówka**, obrazek z życia letnich mieszkańców w Mrozach, przez Bogumiła Hoffa (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 31 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**